Wydanie południowe.

Przedpłata

na „Głos Narodu“ wynosi: **W Krakowie:** rocznie kor. 32·—, kwartalnie kor. 8·—, miesięcznie kor. 2·70, za odnoszenie dwukrotne dziennie 60 hal. miesięcznie.

Numer poranny 14 hal., południowy 4 hal.

GŁOS NARODU

DZIENNIK POLITYCZNY, ZAŁOŻONY W ROKU 1893 PRZEZ JÓZEFA ROGOSZA.

REDAKTOR KIERUJĄCY: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Wydanie południowe.

Przedpłata

na „Głos Narodu“ wynosi: **Na prowincji:** rocznie kor. 40·—, kwartalnie kor. 10·—, miesięcznie kor. 3·40. **Za granicą:** kwartalnie kor. 13·—, rocznie kor. 52.—.

Numer wieczorny na prowincję 16 halerzy, południowy 6 halerzy.

Nr. 68. **Kraków, Piątek dnia 23 Marca 1900.** **Rok VIII.**

ROZMOWA Z CZŁONKIEM KONFERENCJI.

WIEDEŃ 22 marca.

(G. S.) — Pytasz mnie pan o więcej, aniżeli wiem i wiedzieć mogę — odpowiedział mi jeden z czeskich członków konferencji ugodowej, gdym go zapytał, czy są widoki porozumienia drogą, obraną przez prezydenta gabinetu.

Potem dodał:

— Jesteśmy zarzuceni nadmiarem materjału, który, by go przejrzeć bliżej, wymaga dłuższego czasu. W szczególności odnosi się to do nowego podziału Czech na okręgi administracyjne i sądowe.

— Podział ten wyszedł z inicjatywy Niemców — wtrąciłem.

— Tak jest — odparł mój interlokutor, — ale nie jest to wcale rzecz nowa. Była ona bowiem już traktowana, a projektem tym zajmował się swojego czasu gorliwie były staroczeski poseł, dr. Matusz. Przeciw samemu projektowi nie mielibyśmy zasadniczo nic do zarzucenia, gdyby on liczył się nietylko z narodowymi, lecz także z miejscowymi i kulturnymi względami, gdyż u nas, w Czechach, nie stanowi wszędzie narodowa strona jednolitości, co już nieraz wynika z samego geograficznego położenia. Wyobraźmy sobie np. pasmo gór, po którego jednej stronie mieszkają Niemcy, po drugiej zaś zajmują oni wąski tylko skrawek. Jeśli będziemy mieli tylko Niemców na oku, więc, mimo pasma gór bez komunikacji, połączymy Niemców z jednej i drugiej strony w jeden okręg administracyjny, albo sądowy. Czy to może odpowiadać interesom kraju i ludności, jeśli tak połączeni, chociaż są jednego języka, nie będą się mogli albo wcale, lub z trudnością komunikować pomiędzy sobą i z władzami. Takie okręgi muszą się mniej więcej trzymać naturalnych granic i miejscowej grawitacji okolicy. Nie mogą one bowiem być składane teoretycznie na podstawie wyłącznie narodowych dat statystycznych, a projekt rządowy jest tego rodzaju. Jeżeli więc z tego młyna ma być mąka, trzeba wielkiej poprawy, albo raczej wyczerpującego przerobienia całego projektu.

— O ile zbliżyły obecne rokowania konferencyjne sporne strony do siebie? — zapytałem dalej.

— Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. Właściwie zawsze jednakowy stan rzeczy: zbliżenie trudne, bardzo trudne, a dlaczego, tego podobno niepotrzebuję panu bliżej objaśniać. Jeżeli co do języka urzędowego władz autonomicznych, sejmowej reformy wyborczej, a wreszcie co do kuryj narodowych, wyposażonych prawem weta, przyszło do porozumienia, okoliczność ta postępu wcale nie oznacza, gdyż w tych sprawach istniało już na poprzedniem zebraniu się konferencyjnem porozumienie, a chodziło tylko jeszcze o stylizowanie odnośnego układu, co właśnie obecnie się uskutecznia. Zresztą obecna konferencja nie przyniosła nic nowego, a szczytem jej czynności będzie, jeśli się wybierze podkomitet, który podczas sesji sejmowej roztrząsałby przedłożony przez rząd materjał i snuł dalej wątek nici porozumieniowej, która — wyznaję szczerze — jest bardzo słaba i bardzo łatwo urwać się może.

W końcu mowy poseł zakonkludował dobitnym głosem:

— Po co tu wogóle dużo słów tracić? Bez czeskiego języka w wewnętrznej służbie cesarsko-królewskich urzędów nie ma porozumienia. Wyrowiedział to wczoraj przewodniczący naszego klubu jasno na konferencji, a obecnie będzie rzeczą rządu zastosować się do tego. My żartów nie znamy, a stanowiska naszego zdołamy skutecznie bronić. W walce z Niemcami wzrósł naród nasz w siły, walka naszym żywiołem: jeśli Niemcy chcą wojny, będą ją mieli. Kapitulować nie będziemy pod żadnym warunkiem. Mówię z goryczą, bo zaczynam wątpić w dobre chęci Niemców: od nas żądają oni wciąż ustępstw, my im je robimy, a oni ze swej strony niczego nam dać nie chcą. W tych warunkach trudno mówić o pokoju.

Posiedzenie Rady miejskiej.

KRAKÓW, 22 marca.

Czwartkowe posiedzenie Rady miejskiej rozpoczęło się o trzy kwadranse na szóstą. Komplet przybyłych imponujący. Przyczyna tego nie trudna do odgadnięcia; na porządku dziennym sprawa utworzenia kosztem miasta nowej ulicy Podwałowej, mającej iść wzdłuż wału kolejowego na przestrzeni od ul. Dietlowskiej aż do Wisły. Sprawa niewyczerpana na ostatniem posiedzeniu, zaabsorbowała sobą znowu prawie cały czas także wczorajszych czwartkowych obrad Rady. Już z góry całość przybyłych radnych podzieliła się na dwa, bardzo zdecydowane obozy zwolenników i przeciwników uchwalenia nowej ulicy. Zagorzałym dowódcą zwolenników jest radny Rotter, przeciwnikami sprawy przewodzi zapamiętale prof. Leo. Jedni i drudzy przybyli na obrady zbrojni w moc nieprzeparcie przekonywujących argumentów, jedni i drudzy chcą walczyć do ostatka. Z niecierpliwością wyczekują przewalenia się spraw wstępnych.

Jest ich trzy. Sekretarz mag. Nowicki odczytuje pismo komitetu Zjazdu lekarzy i przyrodników. Komitet dziękuje za udzieloną subwencję i zaprasza reprezentację Rady do wzięcia udziału w uroczystościach Zjazdu w charakterze gości. Odczytuje także pismo, zapraszające Radę na nabożeństwo Kościuszkowskie w dniu 24 bm.

Powstaje prezydent, aby poświęcić dłuższe przemówienie pamięci zmarłego członka Rady miejskiej śp. Witalisa Szpakowskiego. Radni słuchają słów tych stojąc.

„Śmierć umniejszyła — mówił prezydent — grono nasze w dniu 2 marca, zabierając nam kolegę i współpracownika, ś. p. Witalisa Szpakowskiego. Litwa była mu ojczyzną, a Pińsk gniazdem rodzinnem, w którem w roku 1841 ujrzał światło dzienne i gdzie też, po ukończeniu szkół w Mińsku i w Wilnie, wstąpił do służby rządowej.

„Wir nieszczęsnych wypadków politycznych roku 1863 pochwycił go i wraz z innymi wciągnął do rozpaczliwej walki o niepodległość ojczyzny.

„Po upadku powstania pod osłoną przybranego nazwiska udał się do Wilna, gdzie przyjął i pełnił obowiązki urzędnika akcyzowego, lecz wkrótce, przestrzeżony, że władze odkryły jego miejsce pobytu, widział się zniewolony opuścić ojczystą ziemię i uszedł za granicę, udając się do Turcji. Pozbawiony środków utrzymania wskutek konfiskaty majątku rodzicielskiego przez rząd rosyjski, utrzymywał się w Konstantynopolu i miastach Małej Azji z malarstwa pokojowego.

„Nie mając jednak widoków znośnego nadal istnienia, porzucił wkrótce wschód, odpłynął do Marsylji, a wyuczywszy się tam farbiarstwa, udał się w roku 1866 piechotą do Paryża i tu, walcząc z niedostatkiem, graniczącym niemal z nędzą, pracował jako robotnik farbiarski. W roku 1870, wstąpiwszy wskutek niedostatku w szeregi komuny, pojmany z bronią w ręku przez wojska rządowe, był skazany na śmierć, której to kary szczęśliwie uniknął, ratując się ucieczką przy pomocy przychylnych włościan. Nękany niedostatkiem i tęsknotą za krajem, przybył w roku 1872 do naszego miasta, tu się osiedlił i przeżył między nami 28 lat jako wzorowy rękodzielnik.

„Dwukrotnie wybrany radcą miejskim, bo w róku 1884 i 1893, służył gminie przez lat 12, w ciągu którego to czasu należał do sekcji III. i I., dzieląc z nami pilnie i gorliwie prace około dobra naszego miasta. Cześć pamięci miłującego Ojczyznę obywatela i wzorowego rękodzielnika.

„Powstaniem z miejsc oddaliście Panowie cześć pamięci zmarłego, co też w protokole dzisiejszego posiedzenia zapisane zostanie“.

Następnie przedstawia radca miejski dr Ernest Bandrowski następujące wnioski naglące w sprawie budowy szkoły handlowej w Krakowie:

1) „Pod budowę wyższej szkoły handlowej przeznacza się z realności miejskiej, objętej wykazem hip. l. 850, część gruntu, około 354 sążni kwadr. wynoszącą, z tem, że przed frontem szkoły ma być założoną ulica 15 metrów szeroka, łącząca ul. Czystą z ul. Krupniczą“.

2) „Prezydjum miasta wniesie do Sejmu krajowego petycję, aby kraj udzielił gwarancji dla pożyczki annuistetowej w kwocie 70.000 koron, które gmina miasta Krakowa zamierza zaciągnąć w celu uzupełnienia funduszu potrzebnego na budowę wyższej szkoły handlowej, aby przyjął na siebie spłatę rat procentowych i amortyzacyjnych tejże pożyczki“. Przyjęto.

Rozpoczyna się dyskusja nad częścią integralną obrad, nad uchwaleniem ulicy Podwałowej. Jestto kwestja tego rodzaju, gdzie dla interesu kilku jednostek (nb. żydowskich, jak „obiwatele“ Rittermann, Liebling, Seinfeld et consortes) ma się angażować około 200.000 koron z funduszów miasta, wprawdzie rozłożonych na lat 10, ale zawsze kosztem i tak już śmiertelnie anemicznego budżetu miejskiego. Batalję rozpoczął r. Epstein — rzecz naturalna — przedstawiając całą sprawę jako interes niezwykle świetny i to dla miasta. Dzielnie się zmierzył z nim w tej mierze hr. Potocki, w czem go bardzo skutecznie poparł zaraz potem prof. Leo, który jeden po drugim gasił wymownemi słowy bardzo kruche argumenty p. Epsteina. Tę klęskę p. E. starali się kolejno powetować radni Kohn i Weigel. „Jak nie uchwalicie tej ulicy, mieszkańcy tej części miasta będą mieć ogromny żal do was“ — biadał p. Kohn. „Przecie tych 200.000 koron nie zapłacimy zaraz, ale w ciągu lat 10“ — dodawał p. Weigel. Widać, mocno skruszonym uczuł się temi łkaniami radny Popiel, bo postawił wniosek z dziedziny „wilk syty, koza cała“, a to, aby sprawę odesłać na nowo do sekcji skarbowej. Nie tak radykalnym był p. Beringer.

Stwórzmy ulicę — mówił ten mowca — ale nie kosztem miasta, lecz tych, którzy na tem interes złoty zrobią!... Kiedy jeszcze i hr. Wodzicki uparł się, aby sprawę odesłać do komisji i sytuacja nowej ulicy się zachwiała, powstał wielki jej rzecznik dyr. Rotter (przecie o interesy żydowskie chodzi!..), aby przeszło pół godziny kruszyć kopię w obronie sprawy, do której miasto miało dołożyć do 200.000 kor. po to tylko, żeby żydowscy właściciele tych parcel mogli sobie tu utworzyć jedną długą ulicę z prześlicznym frontem a nadto dwie czy trzy do niej przecznice. Po dyr. Rotterze przemawiało jeszcze kilku mowców za i przeciw.

Z wywodów tych końcowych wyłonił się jeszcze wniosek p. Paszkowskiego, aby sprawę odesłać do sekcji I, która raz jeszcze ją dokładnie zbada i omówi z interesowanymi właścicielami parcel.

Tok tej dyskusji był względnie spokojny, dopóki prezydent nie przystąpił do głosowania. W sali rozpoczęło się małe kotłowanie. Tok legalny zmienił się w obstrukcyjny. Obecnych w sali jest 36 radnych. Za wnioskiem p. Paszkowskiego głosuje 12, przeciw głosuje 15. Ani jedna ani druga strona nie ma większości — ogólna konsternacja, która się przemienia w wielką burzę między konserwatywnymi radnymi a zwolennikami p. Rottera. Prezydent jest w kłopocie, nie wie, jak wybrnąć. Ostatecznie zamyka posiedzenie, konstatując, że wniosek sekcji jest nie wyraźny i niezupełny, i że go w tej formie pod głosowanie poddać nie może. Jest godzina 9 wieczorem. W ten sposób już zmarnowano aż dwa posiedzenia na nic. Ot, co znaczy interes żydowski!...

Pożar Kolbuszowej.

Według urzędowych relacyj, pożar Kolbuszowej miał następujący przebieg: Wybuchł w dniu 20 b. m. około godziny 4 po południu w domu zajezdnym Simcha Altbacha, położonym na rogu rynku i ulicy prowadzącej do Rzeszowa. Ogień powstał, o ile śledztwo sądowe innej przyczyny nie wykaże, przez nieostrożne obchodzenie się z samowarem, który służąca Altbacha celem szybkiego zagotowania się w nim wody, wyniosła do sieni zajazdu, gdzie stają wozy, a skutkiem tego na ziemi zwykle dużo siana i słomy; nadto służąca polać miała węgle w samowarze naftą. Płomienie szybko dostały się na strych i w krótkim czasie ogarnęły cały dach domu. Już w tym czasie

przybyła na miejsce straż pożarna, która czerpiąc wodę z poblizkiej rzeczki starała się ogień ugasić, bardzo silny jednak wiatr południowo-wschodni udaremniał wszelkie zabiegi. Wkrótce też zajął się dach sąsiedniego domu, od tego dom dalszy, w dziesięciu minutach wiatr zaniósł żagwie na stronę północną rynku, a w godzinę cały rynek stał już w płomieniach.

Akcję ratunkową skierowano na zabezpieczenie domów, leżących w granicach wiatru. Wieczorem około godz. 7 na telegraficzne zawezwanie przybyła straż pożarna z Majdanu (pow. kolbuszowski), która oddała dobre usługi, o godzinie 10 nadjechała straż głogowska, a o godz. 11 zdążył tren pozarny z Rzeszowa.

Pożar ugaszono dopiero 21 b. m. rano. Zniszczył on 140 numerów domów, czyli 200 zabudowań, pozbawiając mienia i dachu nad głową 600 rodzin, prawie wyłącznie żydowskich. Spłonęły literalnie wszystkie żydowskie kramy t. zw. mieszane, t. j. bławatne. z wiktuałami i żelaziwem, dalej trafika i inne; wynieść z palących się domów zdołano bardzo niewiele, a i to tiło się przez całą noc na rynku. — Z budynków, mieszczących zakłady publiczne, zgorzał budynek szkoły ludowej, własność posła dra Hupki, oraz biuro ewidencji katastru, gdzie spaliły się wszystkie akta, z wyjątkiem uratowanych map oryginalnych. Biuro to mieściło się w domu piętrowym miejscowego kupca, katolika; dom ten spalił się podobnie, jak i dom burmistrza, oraz jak całe mienie naczelnika sądu radcy Męcińskiego. Kościół otoczony murem, murowany i pokryty blachą, był należycie strzeżeny i ocalał, mimo, że obok spaliła się szkoła i wikarówka. Budynki starostwa, sądu i urzędu podatkowego, leżały po przeciwnej stronie wiatru i nie były zagrożone.

Na miejsce pożaru przybyli wszyscy urzędnicy starostwa, biorąc czynny udział w akcji ratunkowej, dalej komendant stacyjny rotmistrz Perasso, porucznik żandarmerji Tinz, zastępca prezesa Rady powiatowej, ks. Czesław Królikowski, i kilku obywateli ziemskich z okolicy. Żandarmerja z powiatu, z Głogowa i Rzeszowa, gorliwie pełniła służbę, a w akcji ratunkowej pomagali też bardzo czynnie żołnierze załogi (pułku ułanów nr. 6).

Dnia 21 b. m. gaszono energicznie tlejące zgliszcza i burzono grożące niebezpieczeństwem kominy spalonych budynków. W dniu pożaru odbywał się targ tygodniowy, a ludność zamiejscowa na widok groźnego pożaru uciekała na wozach z miasta, przerażona tem, że ogień począł ogarniać już nawet rzeczy na wozach złożone.

Wczoraj ukonstytuował się w Kolbuszowej za inicjatywą zastępującego starostę, komisarza pow. p. Piotra Przybylskiego, oraz wiceprezesa Rady powiatowej ks. Królikowskiego, komitet ratunkowy, który pomiędzy najbiedniejszych pogorzelców postanowił rozdać niezwłocznie 1400 koron.

Od komitetu tego otrzymujemy następujące pismo:

„W dniu 20 marca b. r. nawiedził miasteczko Kolbuszowę pożar, który w przeciągu paru godzin obrócił w perzynę sto kilkadziesiąt domostw, pozbawiając około pięćset rodzin najbiedniejszych mieszkańców nietylko dachu, ale także całkowitego mienia, gdyż wobec bardzo silnego wiatru i gwałtowności pożogi ratunek był wprost niemożliwy. Szkoda wynosi 4 miljony koron.

W celu niesienia pomocy pogorzelcom, zawiązał się zaraz komitet ratunkowy za inicjatywą Wydziału Rady powiatowej, który to komitet zwraca się do wszystkich serc litościwych z prośbą o nadsyłanie datków pod adresem Wydziału Rady powiatowej w Kolbuszowej.

Janusz Tyszkiewicz. Ks. J. Markiewicz. Jakób Ekstein.

KRONIKA.

Nabożeństwo dziękczynne. W kościele Najśw. Marji Panny, staraniem Tow. im. Tadeusza Kościuszki odbędzie się w sobotę dnia 24 bm. o godz. 11-ej przed południem. Nabożeństwo dziękczynne, jako w 106 rocznicę przysięgi Tadeusza Kościuszki na Rynku krakowskim.

Dyrektor policji dr Z. Korotkiewicz wyjechał w piątek rano na kilka dni do Wiednia. Obowiązki służbowe pełni zastępczo radca policji p. Władysław Swolkien.

† **Rudolf Glixelli**, majster blacharski, uczestnik powstania z roku 1863, obywatel m. Krakowa, zmarł dnia 22 marca. Podgrzeb odbędzie się w sobotę, dn. 24 marca o godzinie 4 po południu z krypty księży Pijarów.

† **Aleksander Heurteux**, b. radca miejski, ur. 1821 w Warszawie, zmarł w Krakowie.

Wydział Tow. im. Tadeusza Kościuszki zaprasza członków Towarzystwa do jaknajliczniejszego udziału w nabożeństwie dziękczynnem, które odbędzie się dnia 24 bm., w sobotę o godz. 11-ej przed południem, w kościele N. Marji Panny, jako w 106 tą rocznicę przysięgi Najwyższego Naczelnika.

Stowarzyszenie polskich rękodzielników „Gwiazda" w Krakowie, ul. Graniczna l. 6, urządza w niedzielę dnia 25 marca 1900 roku wieczorek dla uczczenia przysięgi Tadeusza Kościuszki, z następującym programem: 1) słowo wstępne p. prezes Stow., 2) odczyt p. profesor Kozłowski, 3) gra na cytrze, 4) dramat jednej nocy, poemat dramatyczny w 1. akcie Aurelego Urbańskiego, 5) deklamacja, kazanie księdza Marka, 6) Kościuszko pod Racławicami; duet kowali, Bartosz Głowacki, Opowiadanie lirnika. — Początek o godzinie 7 wieczorem.

Poświęcenie i otwarcie nowego sklepu. We czwartek przed południem O. Florjan Jasocha, gwardjan OO. Kapucynów, poświęcił nowy skład wódek dystylarni p. Piotra Porzyckiego w domu p. Jana Fischera, obok pałacu Spiskiego. Oprócz wódek jest tu urządzone mieszczańskie „Bodega" z wszelkiemi przekąskami na zimno i gorąco obok wyszynku piwa okocimskiego. Miło nam zaznaczyć, że sklep ten w Rynku głównym choć na niego były żydowskie zakusy, znajduje się znowu w posiadaniu katolika. Po ceremonji poświęcenia p. Porzycki gościnnie podejmował grono osób zaproszonych, od których odbierał serdeczne życzenia. Podczas przyjęcia złożono 4 korony na polską szkołę w Białej.

Proces dra Caro przeciw drowi Drobnerowi. W długiej i szerokiej przemowie zbija dr Caro twierdzenia oskarżonych, wyrażone w inkryminowanych artykułach „Naprzodu". Powołuje się na orzeczenia rzeczoznawców i przechodzi poszczególne pozycje rachunków przedkładanych i inkasowanych od klientów. Powołuje się między innemi na fakt, że nawet w takim Krakowie są adwokaci, biorący za konferencje, lub czynność półdniową — po tysiąc złr. i więcej. W porównaniu z tem honorarja wybierane od Ochojnów — są małe. W Austrji panuje zamieszanie na punkcie adwokackich honorarjów. W tym samym sądzie wysokość honorarjum jedna instancja oznaczyła inaczej, druga inaczej.

Dr Caro zastanawia się nad znaczeniem słowa „zdzierca". Słowo „zdzierca" według brzmienia słownika Lindego jest pojęciem identycznem ze słowem „łupieżca", po niemiecku „Erpresser", po łacinie „latro". Cytując niektóre ustępy z klasycznych pisarzy: z Paska, Krasickiego i t. p. konkluduje oskarżyciel, że pojęcie to jest pogardliwe, uwłaczające czci — a na coś podobnego on (t. j. dr Caro) nie zasłużył. Zwraca się wreszcie pośrednio do oskarżonego, że prawdopodobnie słyszące o tem, że Lassal i Daszyński(!) miewali procesy, i on też, chcąc stać się popularnym — a może nawet i posłem — postarał się o proces.

Zapomniał jednak o tem, że ci ludzie miewali procesy, ale polityczne, nie o potwarz prywatnych osób. Do wystąpienia na arenę publiczną, na otrzymanie „ostróg w zawodzie rycerza publicznego — trzeba wiedzy, talentu — i uczciwości".

Przemawia z kolei dr Samper, jako obrońca dra Drobnera. Z ubolewaniem stwierdza, że rozprawa wiele przykrych i drastycznych momentów na jaw

LEW HR. TOŁSTOJ.

WSKRZESZENIE.

ROMANS

(90) (Ciąg dalszy).

Przypomniał się mu jego stosunek z żoną marszałka szlachty i cały szereg wstrętnych wspomnień cisnął mu się na myśl. Zwierzęca żądza dzikiego zwierza jest sama przez się wstrętna w człowieku — myślał dalej, — jeżeli się objawia w całej swej nagości, wtedy możesz z wyżyny twego duchowego rozwoju z góry na nią patrzeć i gardzić nią; obojętne, czyś jej uległ, czy nie — ty zostaniesz takim samym, jak i przedtem; jeżeli to zwierzę w człowieku jednak osłoni się w płaszczyk pseudo-estetyczny, poetyczny, i wymaga ciągłego uwielbiania, i ty je uwielbiasz, wtedy identyfikujesz się z niem i nie możesz odróżnić dobrego od złego i to jest straszne!

Jak ubiegłej nocy, nie było na ziemi uspokajającej, orzeźwiającej ciemności, tylko nieprzyjemne, nienaturalne panowało światło bez widocznego źródła, tak i w duszy Niechludowa nie było już cienia znoszącego ociężały spokój, nie było nieświadomości, szukania w ciemności, ani też dwojakiego światła. Wszystko było jasne, jak słońce. Było mu jasnem, że wszystko, co w wielkim świecie uchodzi, w gruncie rzeczy jest nic nieznaczącem i niskiem, i że cały blask zewnętrzny i cały przepych są płaszczykiem dla zbrodni oddawna i głęboko zakorzenionych, zbrodni, które nietylko uchodzą bezkarnie, lecz nawet trjumfują, i które się przystraja w taki przepych, jaki ludzie tylko mogą wymyślić.

Niechludow najchętniej byłby tę prawdę przeoczył, lub znowu zapomniał, ale dla niego już było niemożliwem nie zwrócić na nią uwagi. Choć niewidocznem pozostało dla niego to źródło tego światła, w którego oświetleniu teraz wszystko mu się wyjaśniło, równie jak też nie mógł dostrzedz źródła nocnego światła, wznoszącego się nad Petersburgiem, i choć mu to światło wydawało się dwoistem, nieprzyjemnem i nienaturalnem, jednak nie w jego mocy było nie ujrzeć dokładnie tego, co mu się w tem świetle ukazywało, i wskutek tego odczuwał równocześnie radość i zaniepokojenie.

XXVII.

Po powrocie do Moskwy udał się Niechludow przedewszystkiem do szpitala więziennego, aby przynieść Masłowej tę smutną nowinę, że wyrok sądu obwodowego został przez senat zatwierdzony, i że teraz należy rozpocząć przygotowania do pochodu na Sybir.

Mało pokładał nadziei w prośbę do tronu ułożoną przez adwokata, którą przyniósł teraz Masłowej do więzienia do podpisu, i — choć to bardzo dziwnie brzmi — nie życzył sobie nawet pomyślnego wyniku. Już się wżył w myśl o osiedleniu na Sybirze, o życiu między zesłanymi i skazanymi na katorgi, tak, że tylko z trudnością mógł sobie przedstawić, w jaki sposób urządziłby sobie życie, gdyby Masłową uwolniono.

Portjer szpitalny poznał Niechludowa i oznajmił mu natychmiast, że Masłowej już nie ma w szpitalu.

— Gdzież ona jest teraz? — zapytał Niechludow.

— Znowu jest w więzieniu.

— Dlaczego ją znowu przeniesiono?

— Et, oni to już wszyscy tacy, Wasza książęca Mość — rzekł portjer z pogardliwym uśmiechem. Zachciało jej się miłostek z felczerem i lekarz ją napędził.

Niechludow wcale nie przypuszczał, że Masłowa i jej stan duchowy tak bardzo go obchodzą, ale wiadomość ta podziałała na niego jak ogłuszające uderzenie. To, co teraz odczuwał, było podobne do uczucia, jakiego się doznaje przy niespodziewanej wiadomości o wielkiem nieszczęściu, które nas spotkało i dlatego czuł się tem bardzo boleśnie dotknięty. Pierwszem uczuciem, jakiego doznał, było uczucie wstydu. Sam sobie wydawał się śmieszny w swoim szale, w którym mu się zdawało, że w Masłowej odbywa się zwrot ku lepszemu, że dusza jej doznała uszlachetnienia. Jej niechęć, którą mu okazywała, jej wzdraganie się przyjęcia ofiary od niego, jej wyrzuty, które sobie sama robiła i łzy: wszystko to było — tak przynajmniej obecnie to pojmował — tylko chytrem udawaniem nawskroś zepsutej kobiety, której najżywszem życzeniem było tylko uzyskanie dla siebie jak największych korzyści. Zdawało mu się teraz, że w czasie ostatnich odwiedzin u niej zauważył objawy tej niepoprawności, jaka teraz stała mu się widoczna. Wszystkie te myśli błyskawicą przelatywały mu przez głowę w chwili, kiedy mechanicznie kapelusz nałożył i wychodził z szpitala.

— Cóż teraz z tego wyniknie? — zapytał sam siebie. Czy jestem jeszcze zobowiązany wobec niej, czy też może właśnie wskutek jej zachowania się nie jestem zwolniony ze wszystkich zobowiązań?

Zaledwie jednak zadał sobie to pytanie, gdy natychmiast przekonał się, że on, jeżeliby w zamiarze zwolnienia się z obowiązań wobec niej, zechciał się od niej usunąć i ją zdać na łaskę losu, tem samem nie ją, jak to było zamiarem jego, ukarałby, tylko siebie, i czuł się bardzo nieszczęśliwym wskutek tego.

Nie! myślał dalej; to zdarzenie nie może zmienić mego postanowienia, owszem może mnie tylko utwierdzić w niem. Niech ona sobie robi, do czego ją zmusza jej usposobienie — jeżeli rozpoczęła miłostki z felczerem... niech tam sobie! — to jej rzecz... Moją rzeczą, rzeczą mego sumienia jest słuchać mego wewnętrznego głosu, a ona mi nakazuje poświęcić mą wolność za pokutę za moją winę, a moje postanowienie zawrzeć z nią małżeństwo — gdyby choć tylko pozorne małżeństwo — i pójść tam za nią, dokąd ją zeszlą, to postanowienie jest niezłomne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

wydobyła. Widzieliśmy — mówi obrońca — koncypjenta, odmawiającego obronie wyjaśnień, widzieliśmy adwokata, traktującego kandydata tego samego fachu, „jako zero“. Wydarzył się wypadek bolesny, na który mowca wolałby wieczną zasłonę rzucić. Oto klientka wygadała się przed własnym adwokatem, że fałszywie przysięgła. Adwokat dla własnych celów— doniesienie o krzywoprzysięstwo na nią robi, chociaż ustawa przyznaje mu nawet dobrodziejstwo niezeznawania w sprawie swych klientów. Wypłynęła właśnie na powierzchnię niesympatyczna sprawa honorarjów adwokackich. Mowca sądzi, że etyka stanu adwokackiego nie zyskała chyba na wystąpieniu publicznem dra Caro. Oskarżyciel miał inną drogę: zarzuty, zrobione w „Naprzodzie“, przedłożyć władzy z żądaniem sprawdzenia słuszności tych zarzutów. Zresztą — prawi dalej dr Sumper-Solański — mąż tej miary, co dr Caro, człowiek wiedzy i nauki, mąż bogobojny, nie powinien był tej drogi używać.

On, który jest syndykiem stowarzyszenia pracownic św.Zyty, rzecznikiem PP. Sercanek, krótko mówiąc „enfant chéri“ wszystkich tych sfer, zapomniał, ciągle według słów obrońcy, o kardynalnej cnocie chrześcijańskiej: pokorze. I słusznie pisał Schiller: „Muth hat auch der Mameluk — Demuth ist des Christen Schmuck“. Zarzuca przeciwnikowi wreszcie kokietowanie z przysięgłymi przez swoje biadania i przesadne użalanie się na rzekomą swoją krzywdę, podczas gdy, jak sądzi obrońca, właśnie klient jego jest stroną pokrzywdzoną.

Przechodząc kolejno do przedstawienia obecnej chwili politycznej, chwili walk stronnictw i ścierania się prądów — powiada obrońca, że walka taka musi być, że wyrabia ona ludzi, organy prasowe, partyjne, a nawet ma własny swój język, własną gwarę. Innym językiem przemawia ks. Stojałowski, innym „Czas“, innym „Naprzód!“ O napaściach na osoby mowy tu nie ma, tu jest walka stronnictw, wobec doniosłości której nikną urazy i krzywdy jednostek, gdyby nawet takie kiedy zaistniały. Najwybitniejsi ludzie są przedmiotem krytyki — i inaczej na to reagują, nie w sądzie karnym. Ta sprawa czci kraju, czci prastarej dziedziny Jagiellonów nie obchodzi!

Charakterystycznem jest zeznanie posła Danielaka: „Żeby ojciec rodzony kogoś skrzywdził — to on (Danielak) ścigałby go“. Konkluduje [illegible] mowca, że na tem stanowisku stoją oskarżeni. Obrona [illegible] skutki, jakie pociągnąć za sobą może zasądzenie oskarżonego. Co do samej kary, stwierdza, że na grzywnę zamieniona kara ta być nie może.

Przewodn.: To jest rzeczą trybunału — proszę o tem nie mówić.

Dr. Sumper-Solański: Przepraszam! Jadę dalej. W dalszym wywodzie twierdzi, że dr. Drobner na dostatecznej podstawie i z dostatecznym materjałem wystąpił, w co wliczyć trzeba dobrą wolę i wiarę. Zarzuca oskarżycielowi, że dopuszczał tylko przesłuchania tych świadków, którzy mu byli dogodni. Ochojnową zwalczano jako świadka. Coś podobnego robi się z Maślakiem: doniesienie o niebezpieczne pogróżki; Drążkiewiczowej grozi się, że jeszcze gdzieindziej będzie z nią sprawa, drowi Potockiemu grozi się postawieniem go w stan śledczy w kierunku zbrodni oszustwa. Wobec tego oskarżony z dowodem z tych świadków wystąpił dopiero w ciągu rozprawy — obawiając się represaljów ze strony oskarżyciela, mogących być zaaplikowanemi. Obrońca mówi dalej.

Ślub w Miramare. Do Miramare nadeszło w ostatnich dniach niezliczone mnóstwo wspaniałych podarków ślubnych. Do najpiękniejszych należą podarki ks. Ferdynanda bułgarskiego, arcyksięcia Ludwika Wiktora i gminy Laxemburg, która przysłała artystycznie wykonany adres.

We wtorek wieczorem, pociągiem pospiesznym, przybył do Tryjestu z Gorycji hr. Lonyay. Jechał on ze swym służącym w wagonie I klasy. Hrabia wsiadł do pierwszej czekającej na dworcu dorożki jednokonnej, służący z małym pakunkiem zajął miejsce obok niego i kazał się zawieść do hotelu „de la Ville“, w którym zarezerwowano dla niego na drugiem piętrze dwa pokoje. Ponieważ hr. Lonyay zamieszkał w hotelu w najściślejszem incognito, przeto poczta wszelkie listy i pakunki, nadesłane pod jego adresem, odsyła do zamku Miramare. Hr. Lonyay wieczorem nie wychodził już z hotelu, a kolację kazał sobie podać do swego pokoju. O godzinie 9 wieczorem przybył z Budapesztu brat hr. Lonyay'a, Gabriel.

We środę o godz. wpół do 9-ej rano odjechała z Miramare córka arcyksiężnej Stefanji, arcyksiężna Elżbieta. Naoczni świadkowie pożegnania matki z córką w zamku opowiadają, iż pożegnanie to było nadzwyczaj serdeczne i wzruszające. Na dworzec udano się z zamku w trzech powozach. W pierwszym jechała ochmistrzyni dworu arcyksiężniczki, hr. Gondrecourt, w drugim arcyksiężna Stefanja z córką, a w trzecim ochmistrze dworu obu arcyksiężnych: hr. Chołoniewski i hr. Bellegarde. Na dworca, zanim pociąg odjechał, obie arcyksiężne przechadzały się przez dłuższy czas po peronie, trzymając się pod ręce i żywo rozmawiając z sobą. Widać było, iż obie są do głębi wzruszone. Gdy dano znak do odjazdu, matka i córka ze łzami w oczach uścisnęły się serdecznie, a arcyksiężna Elżbieta kilkakrotnie ucałowała ręce matki. Gdy pociąg ruszył, arcyksiężna pozostała na peronie i powiewając chustką, żegnała córkę, póki nie zniknęła jej z oczu. Potem powróciła arcyksiężna piechotą do zamku, a następnie wysłała powóz do hotelu w Tryjeście, gdzie mieszkał hr. Lonyay. Hrabia natychmiast udał się do Miramare, aby odwiedzić swą narzeczoną.

Ponieważ z powodu zbytniego natręctwa ciekawych żandarmi muszą strzedz wejścia do zamku, więc miała się z tego powodu wydarzyć zabawna historja. Oto po południu zajechał przed pałac powóz, z którego wysiadło dwóch panów w eleganckim stroju. Żandarm zatrzymał ich i poprosił o legitymację. Panowie uśmiechnęli się, a młodszy z nich, uchylając kapelusza, rzekł: „Jestem hr. Elemer Lonyay, a to mój brat Gabriel“. Na te słowa dopiero żandarm salutował i wpuścił ich do pałacu.

Bukiet ślubny dla arcyksiężnej Stefanji wykonał zakład Breisacha w Rjece. Jest on arcydziełem sztuki ogrodniczej. Bukiet obramowany prawdziwemi brukselskiemi koronkami, ma we środku ułożoną z kwiatów koronę.

Z Tryjestu donoszą: Kaplica, w której arc Stefanja brała ślub, jest wiernem naśladownictwem kaplicy Bożego Narodzenia w Betleem. W tej samej kaplicy nieszczęśliwy cesarz Maksymiljan słuchał ostatniej Mszy przed wyjazdem do Meksyku, gdzie go tak okrutna spotkała śmierć. Wbrew pierwotnym doniesieniom kaplica przybrana była białemi różami i wspaniałemi świecznikami.

Ranek czwartkowy był pogodny. Wkrótce jednak potem gęste chmury okryły góry istryjskie. Z morza wystąpiły ciemne opary i mięszały się z lekkim deszczem. Około godz. 10 wypogodziło się znowu.

Hrabia Lonyay zaraz zrana posłał narzeczonej wielki kosz fantazyjny, pełen fiołków parmeńskich, ozdobiony fioletowemi wstążkami. Zamek i ogród cały czas otoczone były policjantami i żandarmami. Do zamku przybywało wielu posłańców z pięknymi kwiatami.

Obu Lonyayów przyjął w zamku hr. Chołoniewski. Hrabia Elemer ubrany był w czarny anglez i białą krawatkę. Po chwili ukazała się arcyksiężna z otrzymanym od hr. Elemera wspaniałym bukietem [illegible]. We włosach miała arcyksiężna przepyszne brylanty. Towarzyszyła jej wielka ochmistrzyni hrabina Gondrecourt i damy dworu hr. Teresa Palffy i Melanja Szögyeny.

Do kaplicy udano się w ten sposób: naprzód postępowała sama arcyksiężna, po za nią szła wielka ochmistrzyni, za wielką ochmistrzynią postępowali obaj hrabiowie Lonyay, potem hr. Chołoniewski i damy

Orszak ten przeszedł przez szeroki korytarz, który za czasów cesarza Maksymiljana ozdobiono chińskiemi i japońskiemi meblami oraz cennymi artystycznymi sprzętami.

W krótkiej przemowie do nowożeńców biskup Mayer powiedział, że związek ich stworzyła miłość, co daje rękojmię, iż małżeństwo po wszystkie czasy będzie obdarzone najbardziej niezamąconem szczęściem.

Biskup zakończył modlitwą o błogosławieństwo Nieba dla nowożeńców.

Arcyksiężna była bardzo wzruszona, zapanowała nad sobą i powiedziała „Tak!“ głosem silnym i pełnym radości. Po ceremonji odprawiono Mszę, podczas której dyrektor kapeli tryjesteńskiej Giuseppe Rota odegrał „Medytację“ Mendelsohna, „Adagio“ Beethovena i dwie swoje umyślnie na ten dzień przeznaczone kompozycje.

Po ślubie hrabia i hrabina Lonyay przyjmowali powinszowania. Hr. Chołoniewski i dr Auchenthaler ucałowali hrabinę w rękę. Hrabina uścisnęła i ucałowała wzruszona wielką ochmistrzynię i obie damy dworu, potem oparta o ramię męża, opuściła kaplicę. Arcyksiężna jest wyższa o głowę od hrabiego Lonyay.

Straszny wypadek w klinice krakowskiej.

Całe nasze miasto od wczoraj zajęte jest strasznie tragicznym wypadkiem, który się tymi dniami zdarzył w klinice krakowskiej. Ulegając prośbie kół lekarskich, nie chcieliśmy przyczyniać się do nadawania tej sprawie nadzwyczajnego rozgłosu, zwłaszcza gdy nas zapewniono, że wszystkie redakcje dzienników zobowiązały się tej sprawy nie poruszać.

Skoro jednak, jak się dowiadujemy, zostaliśmy pod tym względem w błąd wprowadzeni, zmuszeni jesteśmy z przykrego tego wypadku zdać przedmiotowo sprawę.

Kierownik kliniki lekarskiej, radca dworu prof. dr Korczyński zawiadomił w dniu wczorajszym prokuratorję państwa, iż trzy kobiety chore na popołogowe rozmiękczenie kości, znajdujące się na klinice zmarły wskutek zastrzyknięcia im kolchicyny, środka nie uznanego przez austrjacką farmakopeę, ale stosowanego zagranicą jako lek w wypadkach tej choroby.

Kolchicyna jest jedną z najsilniejszych trucizn; jest ona produkowana z rośliny „colchicum automnale“, której własności trujące nawet krowy pasące się na łąkach, doskonale przeczuwają, ponieważ starannie je omijają; doświadczenia uczonych zagranicznych stwierdziły jednak, iż w dawkach ściśle oznaczonych nie wywołuje kolchicyna objawów zatrucia, a natomiast działa nadzwyczaj leczniczo. Ażeby przyjść nieszczęśliwym kobietom z jak najskuteczniejszą pomocą, na klinice lekarskiej postanowiono użyć tego środka.

Nieszczęściem dotychczas nie wyjaśnionem kolchicyna zabiła trzy chore kobiety, które skonały jeszcze we środę. Radca dworu prof. dr Korczyński zarządził bezwłocznie najsurowsze dochodzenia, w celu zbadania powodów wypadku. Dawki przepisane były przez prof. Korczyńskiego najostrożniej i najumiejętniej; asystenci prof. Korczyńskiego zastosowali je w jego nieobecności wprawdzie, ale — jak zapewniają — z wszelką ścisłością i skrupulatnością, preparat aptekarski przygotowany był jak najbaczniej i jak najsumienniej. Nasuwa się więc na razie przedewszystkiem przypuszczenie, że nieszczęsne trzy ofiary okazywały jakąś nadzwyczajną uległość organizmu na kolchicynę.

Zdziwienie jednak wywołują pogłoski, zapewne nieprawdziwe, iż kolchicyna wstrzyknięta została chorym podskórnie w dość znacznych dawkach, gdy tymczasem fachowcy w zakresie farmakologji utrzymują, że podana przez usta, choć leczniczy skutek ma jednakowy, jednak nie działa tak trująco.

Lek ten zresztą jest podawany już to jako tynktura kolchikowa, lub wino kolchikowe, a w takiej postaci lekarstwo nawet przy pewnej omyłce w dawce nie mogłoby być zabijające.

Nazwiska ofiar są następujące: 1) Anna Żyła, lat 33, żona wyrobnika z Laszczyn; 2) Fajga Klar, lat 37, żydówka, żona wyrobnika z Krowicy, w powiecie cieszanowskim; 3) Marja Mazur, lat 29, żona wyrobnika z Prychnika.

Cztery inne kobiety, które leczono kolchicyną, mają się dziś zupełnie dobrze. Wczoraj dwie z nich skarżyły się tylko na ból głowy.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Ehrenberg. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.